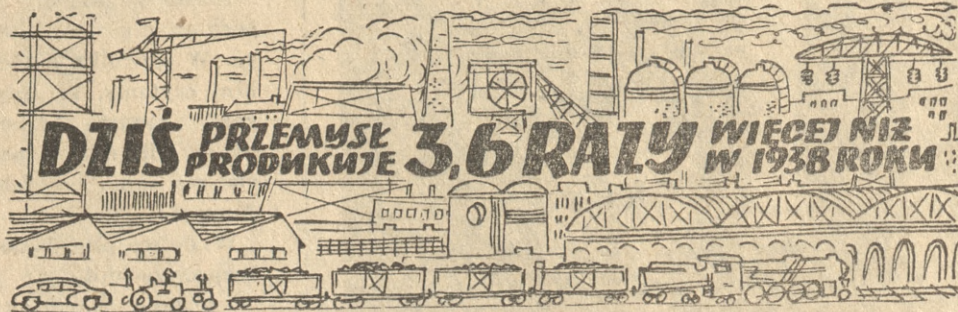




MAMY PRAWO DO DUMY

Janusz Likowski

Jak wyglądała sytuacja w roku 1939? Czy utraciliśmy niepodległość tylko dlatego, że Hitler był silny, czy przede wszystkim dlatego, że Polska była słaba? Zagraniczna emigracja tłumaczy się mniej więcej w ten sposób: inne państwa kapitulowały niewiele później od nas. Skrupulatnie wylicza przy tym, że przecież kampania wrześniowa trwała prawie sześć tygodni („Jeszcze któregoś tam października, panie dziejku, na Helu i pod Kockiem strzelały armaty. Pięć tygodni naród się bronił!”). Jesli- by tak postawić tezę, to — rzecz oczywista — strzały nie ustawały przez cały pięcioletni okres okupacji, zresztą bez udziału pp. pułkowników. Jednak w sprawie września zgodna opinia badaczy stwierdza, że strategicznie zorganizowany opór zakończył się już ósmego, czy dziewiątego dnia walk, z braku lotnictwa, czołgów, broni przeciwpancernej. Później trwały utarczki, bitwy, starcia niezależnych od siebie oddziałów i grup.

Przerwijmy jednak wojenne rozważania! Nie chodzi nam przecież o rozwiązywanie kwestii kampanii wrześniowej. Dziś interesuje nas ona jedynie jako finał dwudziestoletniego dramatu, którego nieudolnym autorem była schodząca ze sceny klasa — burżuazja polska z jej obszarnymi przybudówkami. Powiedzmy sobie, że przecież lata międzywojenne były powtórką historii szlacheckiej Rzeczypospolitej, która „nierządem stała”. Tu i tam władzę dzierżyła rozkładająca się klasa, niezdolna do kierowania narodem, gospodarką, niezdolna do zbudowania prawdziwej niepodległości. O ile za królów Augustów możliwe rody Radziwiłłów, Radziejowskich, Potockich, Branickich, Poninich wystawiały na sprzedaż ościen- nych mocarstw tron, koncesje polityczne i ogromne połacie kraju, o tyle w dwudziestolecie Piłsudski i jego ministerialni komparsowie wyprzedawali zagranicznym milionerom nasz przemysł, bogactwa surowcowe, a nawet transport kolejowy po szczególnie zniżonych cenach.

W twardych dybach milionerów

Wkrótce po przewrocie majowym 1926 roku tzw. „Rada Narodowa” spółki akcyjne; Bank Polski wybrała do swego składu ... wiceministra skarbu USA Ch. S. Davey’a, który w listopadzie 1927 roku zjechał jako kontroler i „treuhaender” kapitalistów amerykańskich przy rządzie p. Piłsudskiego. Jednym z pomocników dyktatora „polskich” finansów był nie kto inny, jak znany nam skąd inąd John Foster Dulles. Oto co o działalności tych dwu „doradców” pisał piórem Franciszka Fiedlera organ teoretyczny KC KPP — „Nasz Przegląd” w roku 1930:

Ten „doradca”, który jest członkiem Rady Banku Polskiego, posiada wpływ na rozdawnictwo kredytów, czyli na kierunek rozwoju gospodarczego kraju, wydaje co trzy miesiące sprawozdania. Już w pierwszym czytamy, że „do-

radca” otrzymywać będzie miesięczne sprawozdania od Ministerstwa Skarbu w sprawie zmian, jakie poczynione być mogą w rocznym budżecie po jego zatwierdzeniu (str. 6). Rząd „zapoznaje” doradcę z planem zreorganizowania kolei. Doradca jest „informowany” o kredytach udzielanych samorządom, o reformie podatków itd., ale faktycznie jest to kontrola kapitału amerykańskiego... Rząd, który całymi latami nie wylicza się przed „suwerennym” Sejmem, śle sprawozdania „co dziesięć dni”, „codziennie”, „w terminie jak najszybszym” suwerennemu przedstawicielowi amerykańskiego kapitału...

Jakie były rezultaty „dobrych rad” p. Ch. S. Davey’a? Grupa Harrimana, któremu Piłsudski podarował 30 milionów zł za- ległych podatków (też dobrze dziś znany żarłoczny rekin amerykański) wyruszył na ekono- miczną wyprawę łupieżczą do Polski zdobyła: monopol produkcji cyny w Polsce, 40% produkcji surowki żelaznej, 50% produkcji stali, 39% wydo- bicia wszelkich minerałów, a 56% wydobycia rudy żelaznej... A trzeba wiedzieć, że ta lista „sukcesów” nie jest pełna...

Angielskie pismo „Evening News” pisało 18. X. 1926 r. z nieukrywaną radością, że angielscy bankierzy otrzymali w Polsce „największą w Europie koncesję leśną”, a więc prawo wyrzębienia lasów państwo- wych.

Znany jest wszystkim fakt, że przedwojenne „państwowy” monopol zapałczany był w rze- czywistości monopolem szwedz- kiego koncernu Kreugera, a bar- dzo charakterystyczną dla wa- runków stawianych przy otrzy- mywaniu kredytów z zagranicy jest słynna włoska pożycz- ka „tytoniowa”. Zaciągawszy pożyczkę u włoskich bankie- rów, polski rząd burżuazyjny musiał podpisać przyrzeczenie, że w razie wojny wywieś wło- skie flagi na budynkach PMT — jako oczywisty znak, kto jest ich rzeczywistym właścicie- lem.

Już tych kilka przykładów, które oczywiście nie wyczer- pują całości obrazu sytuacji

Produkowaliśmy	A dziś?	Ile procent?
Stal (tys. ton)	1 441	3 600
Węgiel (mil. ton)	38,1	88,6
Prąd (mld. kWh)	3,98	12,53
Cement (tys. ton)	1 719	3 320
Obrabiarki		193%
do metali (ton)	1 740	20 300
Traktory	nic	6 700

ROK 1938 ROK 1953 PORÓWNANIE

Być może nie każdemu prze- mawiają do przekonania cyfry produkcji stali, węgla, cemen- tu, obrabiarek, prądu elektrycz- nego. Zjadacz chleba o psychi- ce „straszego mieszczanina” z wiersza Juliana Tuwima pod tymże tytułem — burknąłby niechętnie: „A może ugryźć stal? Węgłem się najem? Ob- rabiarkę do antrejków wstawię? Mnie to niepotrzebne, niech się frajerzy cieszą. Ja swoje wiem, panie dziejku”.

Rzecz prosta — rozumowanie „straszego mieszczanina” jest typowe dla środowiska, które go wydało. Ciasny krąg zainte- resowania, brak zrozumienia problemów ekonomicznych, przepuszczanie każdego wiel-

międzywojennej Polski, dosta- tecznie jasno zarysowuje za- leżność burżuazyjnego państwa od zagranicznych spółek akcyj- nych, które w swych posunię- ciach były bezlitosne. Zamyka- ły przedsiębiorstwa, gdy tego wymagał ich interes. Wyrzu- cały na bruk tysiące polskich robotników przy pełnym popar- ciu „technicznym” rządu. Poli- cja nie szczędziła pałek i kul karabinowych dla tłumienia o- poru robotników.

Można więc powiedzieć ogół- nie: tkwiliśmy w dybach zagra- nicznego kapitału, a dyby — jak wiadomo — zakładane na szyję, krepują głowę, ręce i no- gi. Tak też było z polską gos- podarką.

Dreptanie w miejscu i milowy krok

O jakimkolwiek marszu na- przód nie mogło być mowy. Bez przerwy dreptaliśmy w mie- scu, nie mogąc przekroczyć produkcji z 1913 roku. Nie do- konaliśmy tego ani w zakresie wytopionej surowki, stali, wę- gla, nie wyprodukowaliśmy wię- cej cukru (jeden tylko fok za- znaczyl się nieco zwiększoną produkcją), tkanin, produktów rolnych. W wielu dziedzinach przeciwnie — zaznaczyło się cofanie. Kilku gałęzi przemysłu, dla rozwoju np. rolnictwa nie- odzownych, w ogóle nie noto- waliśmy. Traktorów, samocho- dów — nie produkowano wca- le. Zamiast tego Polska była rynkiem zbytu wielkich spółek samochodowych General Motors i Forda.

Gdy od tej strony spojrzymy na cyfry wskazujące na roz- wój gospodarczy naszej Ojczy- zny w ostatnich latach, musi nas ogarnąć nie tylko radość, lecz także słuszną, uzasadnio- na, zdrowa dumą. Uczyniliśmy milowy krok naprzód, dokonali- śmy przełomu na miarę — nie kilku lat, a pokoleń.

Przyjrzyjmy się tabelce, któ- rą znajdujemy w tezach do dy- skusji przed II Zjazdem PZPR.

kiego procesu społecznego wy- łącznie przez wąskie szkieleto doraźnie prywatnego interesu — cechuje drobnomieszczań- stwo. A przecież każda obra- biarka, każda tona stali i wę- gla więcej, służy każdemu z nas, całej naszej ojczyźnie. Tak- że burzącemu niechętnie „stra- sznemu mieszczaninowi”. Bez przemysłu ciężkiego i chemicz- nego nie może być mowy o rozwoju produkcji środków spożywczych, które „można ugryźć”. Dlatego jesteśmy osobliwie za- interesowani w rozbudowie wielkich inwestycji. Fakt.

Miernik siły i bogactwa

Z ekonomicznego zaboru ame- rykańskich milionerów, w jaki popadła polska gospodarka w okresie międzywojennym, wy- nikają smutne konsekwencje. Panowie Harriman, Devey, ich „ekspersi” — Dulles, czy prof. Kemmerer (którego nawiasem mówiąc bezrobotni Poznania przywołali gwizdami i dziesię- ciotysięcznym wiecem protesta- cyjnym) — nie mieli żadnego interesu w rozbudowie polskie- go przemysłu. Gdzieś, na taj- nym konwentyklu dzielącym świat między wielkoczołdów- monopol-gigantów ustalono: „Polska jest rolniczym folwar- kiem i rynkiem zbytu towarów niemieckich, amerykańskich, francuskich i angielskich. Krop-

ka.” Pan Harriman ze swoimi niemieckimi wspólnikami nie troszczył się więc o rozbudowę hutnictwa i górnictwa. Bardziej interesowało go zamykanie ko- palni i fabryk, by nie czyniły konkurencji bliższym amery- kańskiemu sercu zachodnim monopolom.

Zagarnięcie przemysłu w rę- ce zagranicznych spółek było przyczyną dwudziestoletniego dreptania w miejscu i przera- żającej słabości państwa, które nie miało oddać „ani guzika”. Tymczasem — stal, węgiel, prąd, obrabiarki, cement, moto- ryzacja — to gałęzie produkcji, które coś konkretnie mówią o gospodarce państwa. Wskaźniki produkcji ciężkiego przemysłu są miernikiem nie tylko siły, lecz i bogactwa. Jeszcze w po- równaniu do ZSRR, USA, Ang- lii, Niemiec, nasza produkcja wygląda skromnie, lecz pamię- tamy przecież, że jesteśmy na dorobku. Dopiero w tym roku produkujemy 3600 tys. ton stali rocznie.

Przemysł narodowy produkuje



Sprawa Karoliny Sobiło

P. Bystrzycki

Już wtedy zaskoczyło to sekre- tarz. Może nie sam fakt przy- ścia. Bo i cóż? Karolina Sobiło jest gospodarzem jak wielu in- nych w Lednogórze. Swoje 9 ha uprawiała dotychczas starannie, i choć wdowa i pomocy w domu żadnej, a jednak jakoś dawała radę ziemi. Nie trudno miała zresztą. Rola nad jeziorem jest urodzajna, prawdopodobnie przez dodatek magmy. Agronom, przyjeżdżający co lato z powia- tu, a czasem nawet, gdy posu- cha, dwa lub trzy razy, mawiał mądrze o jakimś tam lodowcu, morunach, czy morenach — ale niech tam! Najważniejsze, że ziemia jest niezgorza, choć te- ren trochę pochyły — zboża, a szczególnie buraki na samym wzgórku udają się marniej, zwłaszcza w bezdeszczowe lata. Pewnie woda spływa. Ale i na to znalazła Sobiło radę — my- ślała sekretarz, patrząc jak róż- wiązuje kraciastą chustę i sado- wi się wygodnie na krześle. — Po prostu zaczęła orać w po- przek. Woda zatrzymywana w brzdach wspomagała roślinki i tam na górze i tu na dole. Co u gadać — sprytna kobieta. Konkluzja ta skłoniła go do go- podarskiej rozmowy o pogodzie urodzajach.

Nareszcie znalazł wytłumacze nie dlaczego przysła. — Ha cóż — widocznie do sekretarza orga-

nizacji ludzie mają zaufanie. To dobrze. Chociaż dowcipniś Wa- sik powiedziałby, że pewnie pro- sić w swaty. Tfu — ten złośli- wiec zawsze coś wymyśli. Ale racja — Sobiło córkę wydaje. Jak się nazywa ten jej kawaler z Łubowa. „No tak” — mruknął — nie mogąc sobie przypomnieć. — A więc jednak zgadzacie się? — Ale kiedy będziemy wstę- pować? — dopytywała się kobie- ta w kraciastej chustce. Siedzia- ła na krześle, oparta plecami o wygiętą poręcz. Pewnie było jej niewygodnie. Nie dziwota. Pleców jak u chłopca nie mogły pomieścić esowate poręcze opa- rcia. Któż by pomyślał, że ma już sześćdziesiątkę na karku. Baba jak tur.

— Zaraz, zaraz — ja tylko tak do siebie. — Na razie nie mo- że się zgodzić, bo jeszcze nic nie wiadomo. Komitet założycielski dopiero się organizuje. — Z ze- wnętrnej kieszeni marynarki wyciągnął notes i zapisał: Sobiło chce wstąpić do spółdzielni. Omówić sprawę komitetu zało- życielskiego na egzekutywie.

— A dlaczego tak wam skoro? — zapytał nagle normalnym, a może przyciszonym głosem, nie podnosząc oczu znad kartek no- tesu.

„Przypomnijmy sobie — mó- wił w referacie na IX Plenum Bolesław Bierut — na jakże od- ległym miejscu znajdowała się produkcja przemysłowa Polski przed wojną w porównaniu z takimi krajami jak np. Włochy i Francja. Kraje wielkokapita- listyczne traktowały Polskę wówczas jako teren eksploata- cji i wygodnej lokaty kapitału, jako swój przydatek surowco- wo-rolniczy. Dziś Polska Ludo- wa wyprzedziła Włochy nie tylko pod względem wielkości produkcji przemysłowej na 1 mieszkańca, ale i pod względem

absolutnej wielkości produkcji. W stosunku do Francji zbliża- my się do poziomu jej produk- cji przemysłowej na 1 miesz- kańca (obecny nasz poziom wy- nosi około 92 proc. jej produk- cji przemysłowej na 1 miesz- kańca) i niewątpliwie bardzo szybko wyprzedzimy ją pod tym względem”.

W rozwoju gospodarczym

kroczymy bowiem niezwykle

szybko. Śladem przemysłu cięż-

kiego posuwa się produkcja

towarów konsumpcyjnych. Oto

tabela podobna do poprzed-

niej:

Produkowaliśmy	A dziś?	Ile to procent
Tkaniny bawełniane (w metrach bież.)	mil. 287,6	498
Tkaniny wełniane	mil. 37,7	66,9
Tkaniny jedwabne	mil. 23,0	47,7
Cukru (w tys. ton.)	506,0	1 120,0

W ROKU 1938 W 1953 R. PORÓWNANIE

Skąd wypływa wzrost produ- kcji przemysłu lekkiego? O- czywiście z szybkiego rozwoju przemysłu ciężkiego i chemicz- nego. Te dwie gałęzie gospo- darki narodowej są fundamen- tem jej rozwoju, dobrobytu społeczeństwa. Na nich dopie- ro można budować. Dostarczają one energii poruszającej fabry- ki: włókiennicze, galanterijne,

spożywcze; dostarczają surow- ców do wytwarzania radioapa- ratów, rowerów, motocykli, no- ży, łyżek, widelców, garnków kuchennych, dostarczają inten- sywnych pożywek rolnictwa — nawozów sztucznych, maszyn rolniczych, środków owadobój- czych. Dzięki temu rolnictwo zwiększyło w Polsce produkcję o 22% na 100 ha użytków rol- nych.

Jednym słowem są jak krew w organizmie człowieka, jak serce, które krew tłoczy do wielkich arterii i najdrobniej- szych naczyń włoskowatych. Są to sprawy zrozumiałe dla każdego, choć bywa także — zapomniane, przez wielu.

Dokonaliśmy w latach powo-

jennych wielkiego wysiłku, nie-

raz kosztem wyrzeczeń, lecz z

przebytej drogi możemy być

dumni. Odrobiliśmy wiele za-

ległości, pchnęliśmy ogromną

maszynę przemysłu na wiele

szybsze obroty; by przynosiła

nam konkretne korzyści, by

podnosiła nasz dobrobyt.

Dumni z uzyskanej siły mu-

simy pamiętać o jej źródłach,

o tym — że, by wzrosła nasza

produkcja przemysłowa 3,6 ra-

za globalnie, a 4,7 raza na 1

mieszkańca — trzeba było wy-

rwąć z łap Devey’ów i Harri-

manów całą gospodarkę, obalić

władzę klas posiadających, wy-

pedzić zgraję burżuazyjnych

ministrów, urządzających nie-

ustanny przetarg bogactw na-

rodu.

Dokonała tego klasa robot-

nicza — cały naród pod kie-

rownictwem Polskiej Zjedno-

czonej Partii Robotniczej.



GRUPA HARRIMANA ZAGARNĘKA PRZEMYSŁ

(Ciąg dalszy na str. 3)



I. Gorbaczew po raz pierwszy wystąpił w filmie, w roli Chłostakowa. Występował dotychczas w zespole teatralnym Uniwersytetu Leningradzkiego

„REWIZOR“

twórcza synteza teatru i filmu

W dwójki zasadniczo sposób można przetworzyć sztukę sceniczną na ekran. Jednym z nich, najczęściej przez filmowców radzieckich stosowanym dotychczas, jest dokumentalne sfilmowanie sztuki. Reżyseria, gra aktorów czy oprawa sceniczna w niczym nie różni się tutaj od normalnego przedstawienia teatralnego. Czasem widzimy nawet kurtynę. Filmy te właściwie nie transponują sztuki scenicznego na ekran, raczej widzą do teatru. Kamera, jak widz w fotelu teatralnym, pozostaje nieruchoma. Nawet wówczas, kiedy zbliża ona aktora, by wyraźniej pokazać jego grę, gdy — zrzadka — filmuje akcję w ruchu, w dalszym ciągu film utrzymuje się w ramach konwencji teatralnych. Do tego rodzaju filmów należy na przykład „Anna Karenina“.

Na przeciwnym, rzecz można, krańcu mieszczą się te filmy, w realizacji których twórcy sceniczni służyli tylko jako punkt wyjścia, jako materiał do scenariusza. W tym wypadku film różni się znacznie od swego pierwowzoru. Dialog — rzecz zasadnicza w teatrze — ulega skróceniu i zostaje z obrazem. Kamera opuszcza widza, wykracza poza salę teatralną i kulisy sceny. Pojawia się plener, montaż, ilustracja muzyczna — powstaje samodzielny utwór filmowy.

Włodzimierz Pietrow, twórca filmowego „Rewizora“ rozumiejąc doskonale zalety i wady obydwóch sposobów wobec sztuki Gogola, wybrał trzecią, pośrednią drogę. Życie zatechłego miasteczka carskiej Rosji, tępotę, samowolę, całą nikczemną małość urzędników w tym ciemnogrodzie panujących — wycieniował Gogol po mistrzowsku właśnie poprzez dialog sztuki.

Gogolowska satyra, odarta z blasku swego jednego, plastycznego dialogu, nie błyszczałaby tak wspaniałym humorem, tak pełnym, wielokolorowym malunkiem postaci. I dlatego skróty poczynione przez Pietrowa są nieznaczne. Dialog sztuki pozostał w filmie i — co brzmi prawie jak paradoks — okazał się bardzo filmowy! Oczywiście przede wszystkim jest to zasługa Gogola, ale — powracając do filmu — tekstem tym potrafił reżyser i aktorzy posłużyć się po mistrzowsku.

Zdjęcia filmowego „Rewizora“ również zostały podporządkowane tej „pośredniej“ koncepcji Pietrowa. Widać, że każdy ruch kamery podporządkowany jest treści. Ujęcia są proste, wyraźne, o spokojnym rytmie, bez nagłych skoków. Wyjście w plener pozwoliło pogłębić charakterystykę prowincjonalnego miasteczka. Takim m. in. na-

der szczęśliwym „komentarzem“ — czysto filmowym — komedii są na przykład sceny wyjazdu z inspekcji ze szpitala lub scena, w której Dobczyński biegnie do domu horodniczego z wiadomością o rewizorze. Można mieć drobne zastrzeżenia co do scenografii. Dom horodniczego, a zwłaszcza jego wnętrze — nie pasuje do gogolowskiej komedii. Ze zdziwieniem spostrzegamy, że mieszkanie horodniczego, wbrew temu, czego spodziewaliśmy się po nim, jest urządzone wytwornie, czysto, ba — z dużym smakiem nawet. Wrażenie to potęguje jeszcze barwa zdjęć, która w tym wypadku niepotrzebnie „uładnia“ dom prowincjonalnego kacyka.

Bezspornie najmocniejszą stroną filmu jest jego obsada aktorska. W „Rewizorze“ grają najlepsi artyści scen ZSRR. Jest to — aktorsko biorąc — Gogol w najlepszym wydaniu. I trudno tutaj kogoś wymienić, gdyż wyszczególnić trzeba by nazwiska wszystkich.

Dobrze się stało, że filmowi dano udźwiękowanie w języku polskim. Wzmocnia to wrażenie, które wywierają świetne kreacje aktorskie.

Nieprzemijająca świeżość i celność gogolowskiej komedii ożyła więc na ekranie. Filmowy „Rewizor“ Pietrowa, jego „pośrednia“, a jednak odkrywcza i twórcza koncepcja — rozszerzyła horyzonty sztuki filmowej, ukazała ciekawą, choć niełatwą drogę pozyskiwania dla ekranu klasycznych dzieł sztuki scenicznego.

JANUSZ BINIEK

Słowo „chuligan“ jest pochodzenia angielskiego. W słowniku oxfordzkim czytamy, że „hooligan“ oznacza członka bandy ulicznych, pojęcie zaś samo przyszło z Ameryki.

W Polsce określenie to rozpowszechniło się już w okresie powojennym pod wpływem wiadomości o walce z tą kategorią młodych przestępców w Związku Radzieckim, gdzie ani społeczeństwo, ani prawo nie toleruje żadnych przejawów chuligaństwa, tępiąc je przez specjalne ustawodawstwo.

Za chuligaństwo uważa się tam wszelkie zamachy na życie, zdrowie lub wolność obywateli, zamachy, których motywem było łobuzerstwo, polegające na wykazaniu braku poszanowania dla społeczeństwa, lekceważeniu zasad współżycia obywatelskiego, rozwrozie i lekceważeniu zasad moralności społecznej.

Chuligaństwo według prawa dawstwa radzieckiego jest przestępstwem skierowanym nie przeciw jednostce, czy danej władzy państwowej, lecz przeciw społeczeństwu jako całości.

Łatwo można to zrozumieć na podstawie przykładów. Jeżeli ktoś pobije na ulicy obywatela, to jeśli uczynił to dlatego, że miał z tym obywatelem jakieś rachunki osobiste, czuł do niego złość itd., to czyn jego nie będzie chuligaństwem, lecz pobić człowieka i jako takie będzie karane. Natomiast jeżeli ktoś pobije na ulicy człowieka bez żadnego powodu „przyczepiwszy się“ do niego z łobuzerstwa, to działanie to zostanie uznane za chuligaństwo.

Jeśli ktoś eskortowany lub upomniany przez milicjanta w toku zatargu z nim pobije go, będzie to uważane

Co to jest chuligaństwo?

Dr Tadeusz Cyprjan

prof. Uniw. Poznańskiego

za czynną napaść na przedstawicieli władzy. Jeżeli jednak zaatakowanie milicjanta nastąpi nie na skutek zatargu, lecz bez powodu, z łobuzerstwa (zwykle zbiorowego), będzie to chuligaństwo, bo atak nie miał na celu danego milicjanta z jakiegoś określonego powodu, lecz był spowodowany lekceważeniem zasad współżycia społecznego.

Jeżeli ktoś ubliży ordynarnie drugiej osobie w toku zatargu, to będzie to zniewaga, jeżeli natomiast wykrzykiwać będzie ubliżające czy ordynarne słowa, by pokazać, że sobie nie robi z porządku publicznego, stanowić to będzie chuligaństwo.

Jeżeli wreszcie ktoś w trakcie bójki połamie krzesła w kinie, będzie to uszkodzenie cudzej rzeczy, jeżeli natomiast połamie te krzesła dla samej satysfakcji niszczenia publicznego dobra, będzie to chuligaństwo.

Z tych kilku przykładów łatwo się zorientować, czym różni się chuligaństwo od innych przestępstw — z punktu widzenia prawnego.

Zwalczanie chuligaństwa w krajach kapitalistycznych oparte jest na przepisach o wykrykach, sądzonych przeważnie w trybie administracyjnym. Ustawodawstwo burżuazyjne nie zawiera o kreśleniu samego chuligaństwa, nie precyzując jego specyficznych cech, jaką jest nieposzanowanie współżycia obywatelskiego, wynikające z negatywnego ustosunkowania się sprawcy do tych zasad jako całości, lecz podlegają obawy chuligaństwa pod kategorię „nieobyczajnych“ czy „grubych“ wykryków przeciw porządkowi publicznemu i jako takie je kara bez względu na odrębną specyfikę tych czynów.

Jeżeli więc pijackie towarzystwo będzie wszczynać po pijanemu hałas w nocy na ulicy, albo jeżeli kilku osobników rozpocznie bójkę w miejscu publicznym, będzie to taki sam wykryk, jak za-

czepianie spokojnych obywateli przez chuliganów, czyniących to bez żadnego ze strony tego obywatela powodu.

Tak więc ustawodawstwo burżuazyjne nie wyodrębnia chuligaństwa z grupy wykryków karanych administracyjnie i uważanych za „drobne naruszenie porządku publicznego“, mimo że chuligaństwo jest przestępstwem znacznie poważniejszym i zasługuje na znacznie surowszą represję karna.

W Związku Radzieckim walka z chuligaństwem prowadzona jest bardzo energicznie. Początek (z punktu widzenia ustawy) dał jej dekret z 10 maja 1953 r., przewidujący kary za chuligaństwo „kwalifikowane“ (tj. po popełnieniu w szczególności obciążających okolicznościach), a mianowicie przedstawiające się jako „awanturnictwo lub rozpamiętanie“ (bujstwo i bieszczenie), popełnione w recydywie, kontynuowane u parcie mimo nawoływania do porządku przez organa władzy lub szczególnie cyniczne bądź zuchwałe.

Tego rodzaju przejawy chuligaństwa karane są w Związku Radzieckim więzieniem do 5 lat i uważane za poważne przestępstwa.

W roku 1940 (dekret z 16. 8. 1940) karane są już wszelkie działania chuligańskie w przedsiębiorstwach, urzędach i miejscach publicznych i przewiduje się za nie karę więzienia na przeciąg roku, jeżeli inne ustawy nie przewidują kar surowszych.

Charakterystyczne jest to, że najpierw (w roku 1935) przystąpiono do ostrej walki z chuligaństwem kwalifikowanym. Społeczeństwo, które w roku 1935 zadowalało się tępieniem szczególnie ostrych form chuligaństwa, zażądało w pięć lat później karania każdego przejawu tego przestępstwa, nawet przejawiającego się w formie łagodniejszej.

Wedle prawa radzieckiego chuligaństwo może być jedynie przestępstwem umyślnym. Nie można popełnić wykryku chuligańskiego nieumyślnie: sprawca musi mieć świadomość i wolę naruszenia zasad współżycia obywatelskiego i musi tę wolę w zdecydowany sposób przejawiać. Ale nie tylko to:

W zamiarze jego musi tkwić również i chęć okazania nieposzanowania społeczeństwa jako całości. Sprawca musi zdawać so-

bie sprawę, że przez swój czyn nie atakuje jednostki jako takiej, z jakiegoś istniejącego czy urojonego słusznego czy niesłusznego powodu, lecz, że jednostka jest tylko okazją do wyładowania uczucia nieposzanowania całego społeczeństwa.

Chuligan „przyczepiający się“ do spokojnego obywatela na ulicy, w tramwaju, w restauracji czy w kinie przyczepia się dlatego, by wyładować tkwiące w nim uczucie lekceważenia społeczeństwa, którego jest członkiem, by pokazać, że jego stać „na wykryk“, że na tym społeczeństwie mu nic nie zależy.

Typowym przykładem chuligaństwa jest niszczenie własności społecznej jak łamanie płotów i drzewek, rozbijanie latarni, uszkodzanie znaków komunikacyjnych, darcie afiszy na tablicach ogłoszeniowych, smarowanie murów i pisanie na ścianach za-bytków, słowem to wszystko czego u nas jesteśmy stale świadkami.

Działania takie w Związku Radzieckim są bardzo ostro tępiące: kara za nie w wysokości jednego roku odstrasza chuliganów, bo stosunkowo łatwo jest ująć sprawców tych wykryków.

U nas dotychczas nie ma jeszcze specjalnego przepisu karnego dotyczącego chuligaństwa. Projekt nowego kodeksu karnego, będący obecnie przedmiotem rozważania kół prawniczych i politycznych zawiera już przepis dotyczący chuligaństwa, a to tak w swej prostej formie, jak i w formie kwalifikowanej. Przepis ten stanowi, że sprawca wykryku chuligańskiego w miejscu publicznym podlega karze pozbawienia wolności lub karze pracy przymusowej do roku, sprawca natomiast kwalifikowanego wykryku chuligańskiego podlega karze pozbawienia wolności od roku do pięciu lat.

Przepis ten, określający chuligaństwo jako lekceważenie zasad życia społecznego, jest dostatecznie elastyczny, by można było z niego czynić użytek w każdym przypadku chuligaństwa, dostatecznie zaś precyzyjny, by go odróżnić od tych wszystkich przypadków, w których sprawca działał z motywów równie przestępnych, ale innego rodzaju.

Celem skutecznej walki z chuligaństwem przepis ten powinien wejść jak najrychlej w życie.

Listy czytelników o satyrze poznańskiej

Od redakcji: W niedzielnym dodatku naszym „Nowy Świat“ z 18 października br. ukazał się felieton Egon Naganowskiego pt. „O poznańskiej satyrze po raz drugi“. Autor wypowiedział się tam — obok recenzji z pierwszego programu Teatru Satyryków pt. „Siódme poty“ — w sprawie bolączek i braków w tej dziedzinie twórczości. Egon Naganowski zakończył swój ciekawy felieton następująco:

„Sądzę, że czytelnicy... nawet liściki skrobną, co o tym wszystkim myślą — wielce byśmy się razem z „Glosem“ z tego cieszyli.“

Istotnie, „liściki“ takie wpłynęły i to dwa bardzo obszerne. Omówimy je zatem, gdyż są one dowodem, że satyra jest bardzo potrzebna w naszym codziennym życiu; ten rodzaj twórczości trafia celnie we wszystkie bolączki i słabości, krytykuje i ujawnia wroga, pobawiając go siły i odwagi. Dobra i słuszną satyrą ośmieszająca i wskazująca pomaga w uzdrowieniu ludzi „niedomagających“, przywraca ich społeczeństwu jako jednostki pożyteczne.

Ze w Poznaniu nie najlepiej było z satyrą, o tym pisać nie trzeba. W ostatnich miesiącach powstał jednak inny wiatr; mamy już Teatr Satyryków, młoda scena, na której niebawem zobaczymy już drugi program.

Czytelnik nasz A. Medyn z Poznania słusznie jednak stwierdza na początku swego listu, że:

„Chodzi mi mniej o garstkę poznaniaków, mogących pozwolić sobie na teatr późnym wieczorem (dla zamieszkowców — tylko marzenie), więcej — o szeroki ogół Czytelników gazet na odległej niejednokrotnie prowincji; oni są większością i im przede wszystkim służyć winna tak skuteczna broń, jak krytyka i satyra.“

Dyskutant w dalszych wywodach wysuwa projekt stworzenia w Poznaniu „Rady Satyry“ która by roztoczyła pieczę nad pisa-

niemi, doborom tematu, która by uaktywniła „nasze pióra“ i skierowała satyrę na właściwą drogę krytyki.

Do słusznej propozycji dodać musimy wyjaśnienie. Sprawę dyskutowano obszernie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich z okazji pobytu w Poznaniu członków zespołu redakcyjnego „Szpilek“ ze Zbigniewem Mitznem (Jan Szlag) na czele. Stwierdzono wówczas konieczność utworzenia kolektywu satyryków przy Związku Literatów Polskich w Poznaniu względnie przy SDP.

W dalszych uwagach autor zastanawia się nad sposobem zachęcenia czytelników do pisania o bolączkach terenu.

„Można by do pisania zachęcić stworzeniem możliwości np. co miesięcznego losowania pięknych książek wśród piszących co najmniej raz w miesiącu — czytelników... Metodą nagród osiągnięto by rzecz cenną: nie tylko wyłapano by palące kwestie terenu, lecz po przez wymianę i kpiny zneutralizowano by i nieszkodliwie no szkodliwe zjawiska na miejscu, bo gazeta dociera wszędzie i zawsze... Chodzi o satyrę reagującą na gorąco...“

Projekt jest słuszny i redakcja nasza postanawia bezwzględnie przystąpić do ogłoszenia stałego konkursu na korespondencje lub pomysły satyryczne.

Zadaniem naszym jest zachęcić czytelników do nadsyłania sr rzeń z terenu, krótkich korespondencji o

niedomaganiach, o jednostkach godnych „satyrycznego uderzenia“. Wierzmy, że znajdzie się wielu czytelników, którzy nadeślą własne utwory krytyczne. Najlepsze, najciekawsze listy, a z utworów własnych wybrane do druku pozycje będą honorowane w stawek dziennikarskich oraz nagradzane wartościowymi książkami.

Na kopercie prosimy zaznaczyć: „Stały konkurs satyryczny“

Inny nasz czytelnik, Jerzy Walden apeluje do dyrekcji Teatru Satyryków o większą ilość piór poznańskich satyryków o aktualnej tematyce lokalnej. Satyrycy poznańscy winni bardziej zwracać się ze sprawami tak im bliskimi, a dostrzegalnymi przez nas wszystkich.

„Wielu jest jeszcze — pisze p. Walden — na poznańskim terenie hipokrytów, lewaków, w których drzemie drobnoświatła skryta pruderia i zakłamanie. Dlatego też Teatr Satyryków winien zajmować coraz to mocniejszą i bojowe pozycje swego repertuaru, przeciw nim kierując swoje uderzenie.“

Z uwagi na ściśle estradowy charakter Teatru Satyryków, podsuwa dyskutant myśl, by sami autorzy spróbowali własnych sił aktorskich. Uwagi te przekazujemy do rozpatrzenia kierownictwu naszej nowej sceny.

Poruszone dzisiaj uwagi i propozycje nie wyczerpują oczywiście problemu i nasuną niewątpliwie naszym czytelnikom jeszcze szereg innych. Wydaje nam się właściwie by zachęcić jak najwięcej zainteresowanych do wzięcia udziału w naszej dyskusji. Chodzi przecież o to, żeby satyra, ta najlepsza broń w walce z kółtunstwem i marazmem spełniła swe zadanie. (thn)

POLONICA w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej

Ukazał się XIX tom Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej — wydawnictwa, które jest swego rodzaju przeglądem osiągnięć socjalistycznej kultury i równocześnie ideologiczną bronią w walce o jej nowe sukcesy.

Przeglądając dziewiętnaste jej tomów widzimy, z jakim pietyzmem redakcja oświetla również polską twórczość naukową i artystyczną na przestrzeni wieków. W tomach, obejmujących słowa, zaczynające się od liter: A, B, W, G, D, Z, I, K — mamy artykuły o Wojciechu Bogusławskim, obszernej wiadomości o Mikolaju Gomułce z XVI wieku, który tworzył melodie „nie dla Włochów, lecz dla naszego polskiego ludu“. Spośród polskich wirtuozów-artystów WER wymienia H. Wieniawskiego, Stanisława Bacwicza (1858—1929), a nawet mało u nas znanego rómieśnika Chopina — Józefa Ignacego Dobrzyńskiego (1807—1887).

Z aktorów omówiona jest droga twórcza polskiej tragikii Stanisławy Wysockiej i Aleksandra Zelwerowicza. Z artystów plastyków WER podkreśla realizm twórcy Grotgera, Włocławskiego, twórcy „Gladiatora“, który zdołał Muzeum Historii i Rekonstrukcji w Moskwie, jako dar miasta Warszawy. W XIX tomie w artykule o malarstwie historycznym znajdujemy ciepłą wzmiankę o Janie Matejce wraz z reprodukcją jego „Skargi“, zamieszczoną obok najznakomitszych obrazów historycznych świata.

Spośród uczonych polskich mamy w Encyklopedii pozycje poświęcone znakomitemu lingwistce i historykowi Aleksandrowi Brucknerowi Baudoin de Courtenay, matematykowi Stefanowi Banachowi, zamordowa-

nemu przez hitlerowców we Lwowie, znakomitemu fizykowi Wroblewskiemu i współczesnemu astronomowi Banachiewiczowi.

Bardzo bogato reprezentowana jest w WER literatura polska. W dotychczasowych tomach mamy omówioną twórczość Łukasza Górnickiego, autora „Dworzani“, romantyków Seweryna Goszczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Stefana Garczyńskiego, Artura Gruszeckiego, Wiktora Gomułkiego, Stefana Zeromskiego, Marii Dąbrowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza. Wnikliwie Encyklopedia omawia twórczość Stanisława Wyspiańskiego, jego początkowy postępowy realizm i późniejsze zejście z tej drogi. Piękne pozycje w WER ma historia Polski. Omówione są postaci Władysława Warneńczyka, hetmana Żółkiewskiego, Jana i Andrzeja Zamojskich, twórcy Legionów we Włoszech Henryka Dąbrowskiego i bohatera Komuny Paryskiej Jarosława Dąbrowskiego. Zgrupowań lewicowych omówiona została działalność „Towarzystwa Demokratycznego“ i chłopskiego „Zarania“.

Z twórców działających w społecznych znalazła piękna ocenę Bolesława Rewutyna i życie Bolesława Bieruta. Z miast Polski WER wyjątkowo wiele miejsca poświęca Warszawie, jej dziejom i odbudowie.

Przeglądając Polonice w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej wyczuwa się, że wszystkie artykuły lub wzmianki wyszły spod pióra żywcich przyjaźni nad rodni polskiego. Mamy w Encyklopedii nareszcie prawdziwy obraz naszej przeszłości. Polski nurt postępowy znalazł po raz pierwszy właściwe odbicie w wydawnictwie encyklopedycznym.

H. BARAŃSKI

Zapraszamy CZYTELNIKÓW

W trosce o stałe podnoszenie poziomu dodatków niedzielnych dzienników poznańskich Zarząd Okręgu Poznańskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz redakcje „Gazety Poznańskiej“ i „Głosu Wielkopolskiego“ organizują dyskusję nt.:

Co sądzę o „Widnokręgu“ i „Nowym Świecie“

Dyskusja, na którą zainteresowanych Czytelników zapraszamy, odbędzie się w czwartek, dnia 26. XI. br. o godz. 18 w świetlicy RSW „Prasa“ w Poznaniu przy ul. Grunwaldzkiej 19 na III piętrze. Po dyskusji rozlosowane zostaną upominki książkowe dla uczestników imprezy.

Poznańscy muzycy odwiedzili Związek Radziecki

— Niezapomniane wrażenia, niezatarte są nasze przeżycia z podróży artystycznej do Moskwy i Leningradu — mówił dyrektor Poznańskiej Filharmonii — Stanisław Wisłocki. Ale zaczniemy od początku, jak w powieści. Bo jak powieść, ciekawą i piękną była nasza podróż.

Był wieczór, gdy po 33-godzinnym, wcale nieuciągliwej podróży zbliżaliśmy się do stolicy wielkiego Kraju Rad. Z daleka nad Moskwą migotały światła wieżowców.

Grupę naszą, składającą się z pianistki Hesse-Bukowskiej, solisty Opery poznańskiej Edmunda Kossowskiego, akompaniatora Sergiusza Nadgryzowskiego i waszego rozmówcy, otoczyli muzycy-koledzy najtroskliwszą opieką. Pierwszego dnia pobytu zostaliśmy zaproszeni na akademie zorganizowaną przez Związek Kompozyto-

choćby Filharmonię w Leningradzie, dokąd udaliśmy się z Moskwy. Filharmonia ta pracuje pod doskonałym kierunkiem E. Mrawińskiego i należy do rzędu najlepszych zespołów Związku Radzieckiego. 70-osobowy kwintet smyczkowy nadaje jej pełne i miękkie brzmienie. Poziom techniczny jest tak wysoki, że od pierwszej próby można pracować nad obrazem całości. Gdy na drugą próbę przyszedłem o pół godziny wcześniej, zastałem grupę ćwiczącą od dwóch godzin trudne miejsca z „Bajki” Moniuszki i „Stepu” Noskowskiego, toteż w czasie próby można było się zająć tylko interpretacją.

Barbara Hesse-Bukowska i E. Kossowski zbierali serdeczne owacje. Gorące przyjęcie leningradzkiej publiczności pozostanie mi długo w pamięci.

Lecz udział nasz w koncertach to nie wszystko. Czas pomiędzy próbami i koncertami wypełniliśmy spotkaniami z robotnikami w Leningradzie, zwiedzaniem teatrów i muzeów. Co za bogactwo wrażeń! Jakże szeroki wachlarz dalszych artystycznych był naszym udziałem w czasie pobytu w Moskwie i Leningradzie.

— W Galerii Tretjakowskiej — mówi solista Opery Edmund Kossowski — w Moskwie znajduje się wspaniała, monumentalna rzeźba M. Antokolskiego „Iwan Groźny”. Przystanąłem, wpatrzyłem w piękno tej rzeźby. Chwila musiała być dłuższa, bo znalazłem się nagle sam. Podszedł do mnie zastępca kustosa Galerii i dowiedziawszy się kim jestem, pokazał

mi cały szereg arcydzieł sztuki rzeźbiarskiej. Z tą samą chęcią przyjechał zwiedzającym z radą i pomocą spotkałem się w „Ermitażu” leningradzkim. Na każdym kroku uderzała nas troska o człowieka i zarazem osobiste, wielkie poczucie odpowiedzialności za każdą czynność.

Do serdecznych wspomnień należy również spotkanie z delegacją, przybyłymi na uroczystości październikowe do Moskwy — Bułgarami, Czechami, Finami itd. Na piękne przemówienie przedstawiciela radzieckiego Gierasimowa o miłości bratnich narodów obozu demokracji ludowej, odpowiedziałem w imieniu naszej grupy. Starłem się wyrazić naszą radość i wdzięczność za możliwość zetknięcia się z ludźmi radzieckimi i delegacjami narodów, miłujących pokój.

Chcę jeszcze wspomnieć o wielkim koncercie, danym w sali im. Czajkowskiego dla przybyłych delegacji przez artystów radzieckich. Nastrój był odświętny. Panie w długich sukniach, panowie w czarnych ubraniach. Ten ubiór odświętny charakteryzuje ludzi radzieckich na koncertach, w operze i na przedstawieniach teatralnych, będąc jakby wyrazem szacunku dla sztuki.

Edmund Kossowski wiele opowiadał o problemach muzycznych Związku Radzieckiego. Jego uwagi, pokrywały się z wrażeniami dyr. Wisłockiego — ten sam entuzjazm i radość z jaką nasza grupa artystyczna opuszczała gościnna ojczyznę socjalizmu.

Rozmowę przeprowadził:
Fr. Hryniewicz



W ostatnich dniach Komisja Nagród powołana przez ministra kultury i sztuki dokonała rozdziału nagród za prace nadesłane na ogólnokrajową wystawę „10 lat Ludowego Wojska Polskiego w plastyce”, zorganizowaną w salach „Zuchoty” w Warszawie. Z prac artystów poznańskich zaszczytne wyróżnienie otrzymała rzeźba Józefa Gosławskiego „Głowa partyzanta radzieckiego”. Prócz tego Ministerstwo Kultury i Sztuki zakupiło prace plastyków: Zbigniewa Jasnocha, Józefa Kaliszana i Józefa Ożmína.



Fot. Maksymilian Myszowski
W Warszawie ogłoszono również wyniki VI Dorocznego Turystycznego Konkursu Fotograficznego, zorganizowanego przez Związek Polskich Artystów Fotografików pod hasłem „Uprawiamy turystykę kwalifikowaną”. Wielki sukces odniósł w konkursie znany artysta-fotografik poznański — Maksymilian Myszowski, zdobywając specjalną nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za pracę o najwyższym poziomie artystycznym oraz nagrodę ZPAF za cykl najlepszych fotografii propagujących taternictwo. Powyżej reprodukcujemy dwa zdjęcia z nagrodzonego cyklu.

15 milionów ton węgla przerobimy w wielkiej syntezie węglowodorów

Przemysł chemiczny w Polsce ma w myśl planu 6-letniego stać się drugą z kolei galezią przemysłu narodowego. Pierwszym, jak każdy się domyśla, jest przemysł węglowy. Produkcja węgla kamiennego osiągnie w roku 1955 liczbę sto milionów ton. Co ciekawsze, to fakt, że przemysł chemiczny jest w wysokiej mierze uzależniony od węgla, którymu dostarcza wielkich ilości podstawowych surowców.

Już od dawna znane są metody odgazowania węgla, przez co prócz gazu świetlnego i koksu otrzymuje się „odpady”, będące prawdziwą kością niezrozumienia dla różnych materiałów wyjściowych do fabrykacji barwników, lekarstw, materiałów wybuchowych, sztucznych tworzyw, włókien itp. Znaczenie węgla kamiennego wzrosło ogromnie z chwilą, gdy odkryto i udoskonalono metody wytwarzania z niego paliw ciekłych, a więc przede wszystkim — benzyny.

Co to jest benzyna?

Znane pierwiastki chemiczne węgiel i wodór są materiałami palnymi, tzn. łączą się chciwie z tlenem, czyli „spalają się”, wydzielając wielkie ilości ciepła. Także związki chemiczne węgla i wodoru z sobą, czyli „węglowodory”, odznaczają się tą samą właściwością. Związków takich jest bardzo wiele. Ogólnie można je podzielić na gazowe, ciekłe i stałe. Gdy w cząsteczce węglowodoru są najwyżej 4 atomy

węgla, mamy do czynienia z węglowodorem gazowym (np. metan CH_4 , etan C_2H_6 itd.). Ilość 5—15 atomów węgla w związku daje węglowodór ciekły (np. heksan C_6H_{14}). Ponad 15 atomów węgla w cząsteczce węglowodoru daje substancję stałą, np. parafinę. Mieszanina ciekłych węglowodorów o ilości przeważnie 6 atomów węgla w cząsteczce, tworzy benzynę.

Taki stan rzeczy natchnął chemików do szukania dróg do wytwarzania sztucznej benzyny w dwu kierunkach: albo do węgla lub stałych węglowodorów dodać wodoru i w ten sposób spowodować ich „upłynnienie” albo w jakis sposób łączyć z sobą gazowe węglowodory tak, żeby powstały cząsteczki o większej liczbie atomów węgla.

Pierwsza metoda nazywa się „uwodornianiem” czyli hydrogenacją węgla. Z rozpylonego węgla i ropy naftowej robi się rodzaj pasty, do której pod wysokim ciśnieniem i w wysokiej temperaturze wleczą się wodor. W obecności katalizatorów następuje łączenie się węgla z wodorem w związki o niewielkiej liczbie atomów węgla, z czego powstaje produkt ciekły, czyli benzyna syntetyczna.

Polska posiada własną fabrykę benzyny syntetycznej w Oświęcimiu, która pracuje wedle drugiej metody. Jest to

synteza gazów.

Gazy te uzyskuje się także z węgla brunatnego, gdy przez rozżarzony węgiel przepuszcza się parę wodną. Powstaje wówczas gaz wodny, czyli mieszanina tlenku węgla (czadu) i wodoru. Gazy te przepędza się przez rury wyłożone katalizatorem, gdzie przy zachowaniu wielu różnych warunków technologicznych następuje łączenie się czadu z wodorem w różne związki węglowodorowe, których mieszanina jest benzyna syntetyczna, w tym wypadku zwana „syntyną”.

Uzyskiwanie z węgla różnych związków węglowodorowych a następnie wytwarzanie z nich paliw płynnych w drodze syntezy (czyli chemicznego łączenia) nosi ogólną nazwę „wielkiej syntezy węglowodorów”. Podczas procesów chemicznych powstają ogromne ilości produktów ubocznych, stanowiących surowiec do dalszej przeróbki.

„Wielka synteza” jest tedy ogromnym i skomplikowanym zagadnieniem naukowym i przemysłowym, które w Polsce Ludowej na biera specjalnego znaczenia. O ogromie jego świadczą liczba 15 milionów ton węgla, jaka w roku 1955 będzie przerobiona na gazy, benzynę i różne produkty węglowodorne.

E. BIAŁOBORSKI

Sprawa Karoliny Sobiło

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Jakie dwie niedziele, temu. Mój Staszek jeździł do Imielnika, ma tam kolegę, tego, wiece, Franka Kopytków, co wspólnie latem rybała na naszym jeziorze. „Widzę — powiada chłopak — jedźcie Szafraniec i ma w zaprzęgu klacz Sobiło. Wasza? — pyta. — A co, nie wolno? — pewnie, że moja. Po chwili uśmiechnął się dziwnie, pstryknął w kapelusz i powiada: „Kupiłem, żeby państwu łatwiej było odstawić”. Strzelił batem i już go nie było. Ale tak to powiedział, że mojego Staszka mało jasna cholera nie wzięła. Wie przecież chłopak, bo sprawa w ubiegłym roku była głośna i o mało do prokuratora nie doszło, że oporniak z niego pierwszej klasy. Do dzisiaj jeszcze nie wywiał się ze swoich 30 ha. W tym roku pewnością też zawali.

Coś w tym jest — myślał sekretarz, wracając polem z zabrania. Dzień był niedzielny, jasny, jak jezioro, w którym przegadywały się wielkie obłoki. Sprawa Karoliny Sobiło nie dawała spokoju. „Zajść by do niej i samemu pogadać”. Dotychczas wydawało mu się, że za czterdzieści kilka rodzin swojej wsi jak własną rodzinę. Tymczasem już opór u niektórych co do założenia spółdzielni odkrywał. Mylił się i to dość gruntownie. Na dzisiejszym zebraniu egzekutywy postanowili oddać sprawę do korzystniejszych okoliczności. A na razie pokazać chłopom na przykładzie gromadzkiego zespołu uprawy, co znaczy gospodarowanie na wspólnym. Ostatecznie w ubiegłym roku zbory były piękne. Wprawdzie podwórkie 27 ha to dobra ziemia, ale jest tylko 10 członków i każdy z nich ma własne gospodarstwo. Roboty huk.

— Czołem, Romaniecki — śniada twarz wyrosła przed oczyma. — Na spacerek w niedzielę, co? A, słusznie, słusznie, każdy musi odpocząć. Od roboty i koń zdycha. — Szafraniec wracał od Sobiło. W jego tonie uderzyła Romanieckiego nuta ukrytej drwiny. I zaraz myśli: „Kto tak mówi i kiedy? Zaraz, zaraz — nie może sobie przypomnieć. — To musiało być dawno, pewnie przed wojną. Spogląda na jezioro. Dzikie kaczki pluskają się w wiosennym słońcu, zabawnie podnosząc ogonki. Przyszły mu

do głowy takie kaczki na stawie w Dziekanowicach. Woda tam była trochę — prawda — mniejsza, bo sztuczna, zaraz za czworakami. Dzieci fornalskie rzuciły często kamieniami. Rządca nie raz zwinął się, żeby nie maciły wody, ale najgorszy pan dziedzie Skiera... Acha — już wie — z taką drwiną Skiera często do jego ojca, folwarcznego kowala:



„A cóż, nie pogubił po drodze hufnali mój siwy?” — Bogać tam pogubił. I tak po chłopkich polach, nie po drodze przecie za zającami ugnął. Ten sztych, wyłożył ton, niby to grzeć ny, ale taki, że serce ścisła od gniewu, dobrze zapamiętał syn kowalski Kazimierz Romaniecki. Poczuł, że twarz mu czerwienieje. Na wszelki wypadek wsunął ręce do kieszeni. Wolno odwrócił się. Do Sobiły już nie zaszedł. Wrócił do komitetu.

Gdy Lednogóra wchodziła w akcje skupu zboża — nie nie zapowiadało dalszego rozwoju wypadków. Urodzaje — prawda — były dobre w tym roku trochę słabsze, ale za to nowa takśaka gruntu i duże możliwości wywazywania się zamiennikami dawały Lednogórze szanse wyjścia z zobowiązań, podjętych jeszcze w kwietniu dla uczczenia 1-Majowego święta, jako pierwszej, przodującej gromady w powiecie gnieźnieńskim. Wszystko właściwie na to wskazywało. Ziemniaki pięknie obrodziły, mimo przelotnych braków opadów, krowy doły się tego, świnię chowały się jak złoto i nawet Wasi, który co rok narzekał na pomór, teraz, gdy mowa była o tucznikach, dumnie zadzierał głowę i wykrzykiwał swoje: ho, ho! — choć miał tylko jednego kabana.

Pierwsze objawy gwałtownego pogorszenia się sytuacji skupu przyszyły zniecałaka jak złodziej pod okno uparzonej ofiary. „Czemuś tam podobno grożono, za to, że agituje za skupem. Wiesz szła wśród ludzi, ale, że jeszcze zniwutowano i ręce były pełne roboty — sprawa szybko przycichła. Dopiero wywiązywanie się, a właściwie niewywiązywanie się w terminie Lednogóry ze zobowiązań, dopiero zaiegły skup zboża i nieopłacony podatek gruntowy odsłoniły istotny stan rzeczy w gromadzie. Sekretarz organizacji partyjnej Kazimierz Romaniecki mówił ze wstydem: „Listopad za pasem, a my tylko 43 proc. w podatku i 44,7 proc. w zbożu. Powody? — Powody były trudne na pierwszy rzut oka do rozgrzywania. Ludzie mawiali, że zboże wywarzło. Najbardziej upierała się Sobiło. „Wymarzło — powiadała — i koniec. Co dam, skąd weźmę — jak nie ma”. „Kobieto — przekonywał sekretarz — przecież ziemia u was dobra, gospodarować umieć, sami pierwsi chcieliście do spółdzielni, a teraz robicie, jakby was ktoś namówił. Jesteście na ostatnim miejscu we wsi. Oddaliście tylko 20 procent zboża”.

Agronom powiatowy zbadał jeszcze w czerwcu stan urodzaju na miejscu i oświadczył, że Lednogóra jest rozrzucona i dlatego warunki klimatyczne ma niejednakowe. — „Fala mrozu zaczęła o wierzchołki wzniesienia na odległych polach. Natomiast wśród chałup, a tym bardziej w kotlinie jeziora, gdzie woda trzyma ciepło, jak piec, mroz zboża nie zgnęł” — Tyle agronom.

I tutaj dopiero wyszło sztydo z worka. Komisja dla spraw urodzaju, złożona z aktywem gminnym i przedstawicielem ZSCh z powiatu stwierdziła jeszcze latem na polu Sobiło dużo perzu. Zytło było niskie, nierozwinięte, jak dziecko, które brak matczynej opieki. Skąd się to wzięło? — myśleli członkowie komisji wracając ścieżką nad jeziorem do urzędu gminnego. Pogoda była piękna, woda gładka, jak powierzchnia lustra, jak wówczas, gdy w pamiętną wiosenną niedzielę Romaniecki, który z urzędu uczestniczył w komisji, przypominał so-

bie Szafraniec. I od razu cała sprawa stała się przejrzysta — aż dziw, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Reszta wyjaśniła się dwa miesiące później na posiedzeniu egzekutywy. „Pozory trudności w wywiązaniu się z obowiązku wywnosił dostaw stworzyły wiosenne przymrozki. Bogać z Lubowa, Imielnika i innych okolicznych wsi sprytnie to wykorzystali i wśród swoich krewnych i kumotów, bogatych i średnich chłopów z Lednogóry, rozniecali różne plotki i podnawiali go oporu. Tak stało się i że średniaczka Karolina Sobiło. Sprzedając konia przed rolniem Szafraniec z sąsiedniej wsi, a poprzez niego stosunki z kuliakami w Imielniku i Lubowie spowodowały, że na sprawy skupu zaczęła patrzeć jak na osobistą krzywdę i bronić się przed odstawieniem państwu zboża wszystkim, co stało do jego dyspozycji. Wasi, który nigdy nie tracił do wciup, nazwał ją wtedy „moje 20 procent”, w czym kryła się niedwuznaczna aluzja do obywatelskiej postawy gospodyni zied jeziora. Dodawał czasem: „Sobiło to niedźwiedź, który tak łaczy, jak mu kulacy grają”. Ale przykład Karoliny Sobiło odsłonił jeszcze sprawę pola i perzu, która jednak nie całkiem była jej prywatną sprawą. Gospodyni licząc na utworzenie spółdzielni produkcyjnej wydała córce za mąż, pozbyła się konia, bo rozumowała: wstąpię do spółdzielni i tam będę na mnie pracować. — „Dyć ja kobieta słaba, sama robić nie mogę, choć może i źle nie wyglądam”. Dlatego doszczętnie zapuściła swoje 9 ha nad jeziorem. Dlatego dopuściła do rozplenienia się perzu, dlatego stała na ostatnim miejscu w gromadzie w odstawie zboża.

Romaniecki raz jeszcze przyznał, że mało znał swoich ludzi. Sukcesy Lednogóry w ubiegłym roku uśpiły czujność jego i towarzyszy i dlatego dużo miałby racji przodujący chłop Andrzej Wasik, jeśli zapytałby go wtedy, czy średniaczka z nad jeziora zaprosiła go w kumy na wesele córki. Sprawa czułości partyjnej stanęła raz jeszcze przed aktywistami z Lednogóry. PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

RECENZJA



Za kulisami finansowej współpracy anglo-amerykańskiej.
Rys. Kukryniksy

To i ono.

Na konferencji prasowej w Bonn określił Adenauer Stany Zjednoczone mianem lekarza świata.

(Leczy według koreańskiej recepty: bakterie i gazy.)

„Der Tag“ (dziennik Niemiec zach.) postawił czytelnikom takie pytanie: czy Adenauer po wprowadzeniu ustawy o powszechnym obowiązku służby wojskowej, cieszy się jeszcze poparciem milionów wyborców?

(Poparciem milionów wyborców co prawda nie, lecz milionerów — tak).

Komendant straży pożarnej w Holz-Bronn (Niemcy zach.) podpalił stodołę, aby dowiedzieć, jak bardzo konieczny jest zakup motopompy dla tej miejscowości.

(Wypadek ten bardzo zaprzął umysły mocodawców z Bonn. Oni też szukają powodu, który by „usprawiedliwił” rozpalenie sprawy Wehrmachtu.)

Prezydent Auriol dowiedział się o wyznaczeniu terminu spotkania na Bermudach, dopiero z prasy. W Paryżu mówi się, że „pierwszy obywatel słonecznej Francji” bardzo się oburzył na nietakt premiera Lanieli, który przecież powinien był przede wszystkim po wiadomości Auriola o konferencji bermudzkiej, a potem dopiero zakomunikować o tym prasie. Rozmowa między tymi mężami stanu była podobno bardzo burzliwa.

(Słoneczna Francja staje się ostatnio coraz bardziej burzliwa. Czarne chmury pędzą nad nią, gnane amerykańsko-bermudzkim wiatrem.)

Marian Załucki

Dziwny pacjent czyli choroba konfekcyjna

Uszanowanie, panie doktorze. Zaraz tu wszystko zwieję wyłożę — króciutko... jasno... dwa zdania: Głowa... puchnie... jak bania. Pan nie dowierza?... Przyjacieli! Wystarczy, że kupię nowy kapelusz — To zaraz, doktorze, kram. Póki pogoda — no, jeszcze, jeszcze. Ale niech tylko zacznie się deszcz. Już w kapeluszu swej głowy nie mieszczę. Choć pcham... W ogóle ze mna rzecz ma się dziwnie. Bo głowa puchnie — a reszta przeciwnie. Czyli ogólnie — to chudnę. I w takim tempie, że skoczę do Wisły Z rozpaczczą czarniejszej od chmur... Kupiłem wczoraj sweter... obcisły. A dzisiaj — wisi, jak wór.

Panie doktorze, niech Bóg uchowa. Bo rzecz to dla mnie ponura... Jeszcze zostanie ze mnie połowa — I — czy ja wiem, która?... Żona mi nawet wytykała. Że ja tak strasznie spadam z ciała — I martwi się ogromnie... Spogląda na mnie nieszcześliwa. Wątlam kurczęciem mnie nazywa. „Kurczatko” — mówi do mnie... A gdy garnitur nowy przymierzałem dziś w Emhade — Tak zbliłem, że aż rzekła: „Ty moje kurczę blade... Co tobie?...” pyta. Mówię: „Patrz.

Do lustra... ono nie kłamie... Jak nie ma zbierać się na płacz. Przecież mam krótsze jedno ramię. Nic nie wiedziałem ja od lat, że tylko jedno mam akurat...”

Co to być może, panie doktorze? Miły doktoru, ratuj... zbaw. Co pan powiada?... Pan nie może? Pan doktor nie od takich spraw? A któż by?... Chirurg?... No, trudno! Nie będę czynił obiekcji... Pójdę pod nóż. Ha, niech mnie już Raz dopasują do konfekcji.

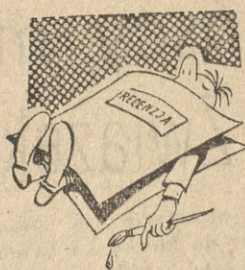


nym zdaniu jest lekceważeniem twórczości plastycznej. Tak być nie może. Mamy prawo domagać się, by nas bardziej szanowano. Posunę się jeszcze dalej i powiem, że nie wydaje mi się, aby niektóre z dodatnio ocenionych prac zasługiwały na podobne pochwały. W tym, proszę kolegów, na pewno coś się kryje i to powinniśmy rozwikłać.

Artysta, którego recenzent w krytyce pominął: Bez kłajstrowania koleży! Krytyka tylko wówczas jest twórcza, gdy wywołana jest śmiało i bez ogródek. Moim zdaniem recenzja jest słaba. Jej autor coś tam wie o sztuce, ale zakres jego wiedzy jest wyraźnie niewystarczający, by o niej pisać i oceniać nasze prace. Nie dajmy się bijać, koleży. Zamieszczona recenzja wykazuje tak rażące braki, że niczego nas nauczyć nie może. Mamy tu typowy przykład spływania poważnego zagadnienia. Tego tolerować nie moż-

na, gdyż podobny stosunek do naszej twórczości wywołać może katastrofalne dla wielu z nas skutki. Recenzje czytają tysiące ludzi, między innymi również ci, na których opinii bardzo nam zależy. Twierdząc kategorycznie, że zamieszczona krytyka fałszywie informuje publiczność o naszych osiągnięciach i dlatego jest szkodliwa. Temu trzeba położyć kres.

Artysta, którego prace recenzent skrytykował: Rację miał mój przedmowa. Zamieszczona ocena jest skandalem, obok którego jest wolno nam przejść obojętnie. Jak długo jeszcze pozwalać będziemy na podobne kpiny? Przecież dla każdego rozumnie myślącego człowieka jest jasne, że w gazecie zamieszczono stek bzdur i bzdur, a nie rzeczową ocenę. Autor tej tak zwanej recenzji jest przecież kompletnym ignorantem w dziedzinie sztuki. Cóż taki pismak może powiedzieć o naszej pracy? Musimy



natychmiast zaprotestować przeciwko skalowaniu kolegów. Proponuję wybrać komisję recenzyjną spośród nas, która sama zajmie się redagowaniem ocen dla dzienników. Jeśli pozwolicie także się zorganizowaniu takiej komisji. Mogą Was zapewnić, że z inicjatywy mojej wszyscy będą zadowoleni.

Artysta, który nie brał udziału w wystawie: Z największym zainteresowaniem wysłuchałem niezwykle żywej i ciekawej dyskusji o zamieszczonych recenzjach i jej autorze. Przebieg jej i charakter dowiódł chyba każdemu z obecnych aż nadto wymownie, na jakim poziomie stoi nasza krytyka i... samokrytyka.

KPIARZ

Reklamacja nieuzasadniona

— Ja w sprawie butów.
— W piątek. Dziś zamówień nie przyjmuję.
— Ja nie chcę zamawiać...
— To co pan chce?
— Reklamować. Dziś rano kolega odebrał buty dla mnie, robione u was na miarę. I nie nadają się. Nazywam się Tomczak.
— Nie nadają się? To po co pan zamawiał?
— Nie są zrobione podług zamówienia.
— Co pan powie panie Tomczak, a co im brak?
— Osiem tygodni robiliście i...

JASKI

— To pan ma szczęście. Tu jeden facet trzy miesiące czeka i dobrze. Klamerek nie ma. Normalna rzecz.

— Nie chodzi o termin. Miał kosztować 700 złotych, a wzięliście 400. Pewnie dlatego, że...

— Znowu z tymi cenami? Słuchajno Franek, żebyś mi nigdy więcej nie podawał cen podczas przyjmowania zamówień, rozumiesz? Ceny są w przybliżeniu. Wahania mogą być. Zaraz, zaraz, co pan mówił, że miał kosztować 700 a zapłacił pan 400? Paradne! To pan się tym martwi? Dziwny z pana klient. Za tanio mu!

— Ja bym się cieszył, tylko, że skóra jest inna. Miał być gruba, impregnowana, a daliście cieniutką, delikatną...

— Do was trzeba cierpliwości! Nylon jest cienki, bi-buła gruba. A co jest mocniejszego? Zupełnie jak dzieci! Myśli pan, że skóra delikatna to już nie może być mocna, co? Daliśmy elegancką skórę, a pan...

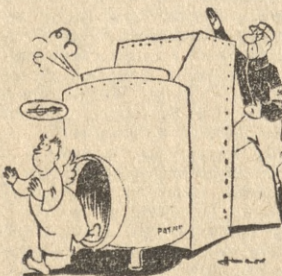


— Tak ale miała być gładka, a wyście dali tłoczoną w groszki. Wygląda jak pomarszczona ze starości...

— Tłoczona skóra się panu nie podoba? To pan nie wie co modne. Za trzy lata nikt nie będzie nosił innej.

— Za trzy lata być może, ale ja potrzebuję buty na dziś. I kolor inny. Miał być brązowy, a zrobiliście takie jakieś jasne, aż oczy bolą patrzeć.

— Jak pan chciał brązowe, to mógł pan iść do pierwszego lepszego sklepu z obuwem i kupić gotowe. Pełno tam brązowych butów. Same brązowe. Mamy klientów, którzy od pół roku chcą się za-



Wszystkim nazistom polecam pralnie, co pierze brudy wprost idealnie: brunatnych koszul już sterty całe wyszły z tej pralni czyste i białe!...

W. Degler

KOŚĆ NIEZGODY

Opinia publiczna Francji stanowczo sprzeciwia się koncepcji „armii europejskiej”.

Oto kość niezgody z niedwuznacznym sensem: prości ludzie nie chcą być armatnim mięsem.

W. Scisłowski

O zbożowych wołkach i innych stworzonkach

Nie jeden kulał w zieleń chodzą słać — jako maruder w zboża odstawie.

Ma zaległości wielkie na koncie, miał je odstawić — dusi gdzieś w kącie...

A po wsi biega, biada i sarka: „Skąd u mnie zboże? Nie mam ni ziarnka!...”

Mówi mu sąsiad: „O jeszcze macie — tylko czekacie na spekulację!”

A on: „Sąsiedzie, dałem już wszystko! Latoś wymokło, a także — wyschło...”

Pod skupem zboża tak kopie dołki — czeka aż ziarno zjedzą mu wołki...

Kulaku, upór twój nie pomoże: Zapłacisz grzywnę i... oddasz zboże!

Po cóż więc fochy? stuknij się w głowę! Z twoich grymasów wniosek jest prosty:

że są nie tylko wołki zbożowe, lecz się trafiają... zbożowe osły!

(wd)

Usługi i handel



— Nie jestem pewien... Czy pan chciał płaszczy czy te narynarkę??...



— A w pralni „Warta” twierdzili, że to jest moja bielizna...



„Jesienne ma...nerwy”

Podajemy nazwiska osób, które wylosowały nagrody książkowe z rozrywek umysłowych:

MIECZYSLAW PRZYBYŁSKI, Międzyrzecz Wlkp., ul. Sienkiewicza 79, JÓZEF SZMETERLING, Poznań, ul. Koscińskiego 7, m. 42, uczeń klasy V w Skorzęcinie, pow. Gnieźno — PŁOTAST, EUGENIUSZ ŻREBECKI, Poznań, Rokossowskiego 32, m. 7a, JOANNA KOSZCZOŁOWICZ, Wągrowiec, Świerczewskiego 5, m. 3.